

POSŁOWIE

Jeden z bohaterów powieści Johna Williama *Stoner*, przerażony perspektywą zbliżającego się egzaminu, pyta: „Co gramatyka może mieć wspólnego z poezją? To znaczy chodzi mi o prawdziwą poezję!”¹. Nie wnikając w tym miejscu w naturę kryteriów pozwalających odróżnić poezję prawdziwą od nieprawdziwej, przyznaję, że jest to pytanie, które także ja zadawałam sobie (a czasem także inni zadawali je mnie) przez ponad pół wieku.

Jako językoznawca wyrastałam w tradycji strukturalizmu, który na Zachodzie – a w szczególności w USA – rozkwitł w drugiej połowie zeszłego stulecia, ostatecznie przybierając kształt generatywno-transformacyjnego modelu języka. Głosy Noama Chomsky’ego oraz jego uczniów i współpracowników docierały oczywiście do Polski, nierzadko budząc podziw wśród adeptów lingwistyki, wychowanych w duchu językoznawstwa, które nazywano – czasem z odcieniem lekceważenia – językoznawstwem tradycyjnym. Był to więc też strukturalizm w wersji Chomsky’ego. Jako początkujący filolog poznawałam wciąż nowe zawłości angielszczyzny, odkrywającej przede mną swoje możliwości, które stawały się widoczne szczególnie jaskrawo w zderzeniu z językiem polskim. Jako gorliwy amator książek, wytrwale poszerzałam znajomość tekstów pisanych o kolejne lektury – prozę i poezję, także tę prawdziwą. Jako początkujący tłumacz – a zawód tłumacza wybrałam chyba zbyt wcześnie, mierząc siły na zamiary i wobec tego podejmując decyzję, którą nie raz przyszło mi uznać za zbyt pochopną – coraz bardziej umacniałam się w przekonaniu, że w tej pracy potrzebna jest nie tylko znajomość języka, lecz także wiedza o języku, a równocześnie odkrywając, że nie jest to taka wiedza, jakiej dostarczało językoznawstwo generatywne. W rękach tłumacza – czy później w zderzeniu z klawiaturą jego komputera – niepokorna i rozwichrzona materia tekstu odmawiała poddawania się surowym na-

¹ J. Williams, *Stoner*, London 2003, przeł. E.T.

kazom algorytmów, a zawitych splotów znaczeń nie dawało się odnaleźć wśród równiutko przyciętych gałązek transformacyjnych drzewek.

Tymczasem jednak zarówno w językoznawstwie, jak i w nauce o przekładzie zaczęły się pojawiać oznaki nadchodzących przemian. Przełom nastąpił w 1987 roku – był to prawdziwy *annus mirabilis*. Były uczeń Chomsky'ego, Ronald Langacker (którego nazwisko jest dziś znane większości adeptów językoznawstwa), wydał wówczas gruby tom, prezentujący rewolucyjną wobec generatywizmu koncepcję języka i sposobu jego opisu. W modelu Langackera język dostarcza swoim użytkownikom repertuaru środków, a autor językowego przekazu za każdym razem wybiera spośród nich te, które najlepiej odpowiadają jego aktualnym potrzebom komunikacyjnym. Każdy przekaz jest obrazem wycinka rzeczywistości, widzianym w określonej sytuacji przez określonego obserwatora. Znaczenie obrazu tworzą nie tylko słowa, lecz także formy. Krótko mówiąc, gramatyka współtworzy obraz, który jest z definicji subiektywny. W językoznawstwie zaczął się w ten sposób „zwrot ku subiektywizmowi”.

Kolejny amerykański eksgeneratywista, George Lakoff (jego nazwisko jest dziś znane wielu badaczom literatury), wydał w 1987 roku gruby tom, w którym dowodził, że język jest odbiciem sposobu widzenia świata, który jest uwarunkowany mechanizmami poznawczymi, ale także zmiennym kontekstem społecznym i kulturowym. Lakoff twierdził w szczególności, że metafora nie jest językowym ozdobnikiem, lecz sposobem myślenia oraz jednym z podstawowych mechanizmów ludzkiego poznania. W językoznawstwie proklamowano „zwrot kulturowy”.

W Europie tłumaczka i badaczka dwóch języków i dwóch literatur – angielskiej i niemieckiej – Mary Snell Hornby (której nazwisko jest dziś znane wszystkim teoretykom przekładu), opublikowała w 1987 roku kilkunastostronicowy artykuł proklamujący „zwrot kulturowy” w przekładoznawstwie i będący zapowiedzią (wydanej rok później) obszernej monografii. Snell-Hornby wprawdzie zawsze zdecydowanie odżegnywała się od językoznawstwa, którego celem był opis języka podporządkowany ścisłej kategoryzacji, ale uważała przekład za „zdarzenie o charakterze międzykulturowym”, a cel pracy tłumacza – za przeniesienie tłumaczonego tekstu „na drugą stronę”, ponad barierami kulturowymi i językowymi. Twierdziła, że cele językoznawstwa są w zasadzie odmienne od celów, jakie stawia sobie nauka o przekładzie (dla językoznawstwa badanie języka jest celem, a dla przekładoznawcy tylko środkiem prowadzącym do celu) i nawoływała do przyznania *translation studies*, tradycyjnie traktowanym jako gałąź językoznawstwa stosowanego i literatury porównawczej, statusu niezależnej dyscypliny. Jednocześnie jednak wzywała do „zintegrowa-

nego podejścia do zagadnień przekładu”. W przekładoznawstwie zaczynał się „zwrot ku autonomii i integracji”.

Zwrot ku „zintegrowanemu” myśleniu o przekładzie oznaczał dla mnie włączenie do przekładoznawczego instrumentarium podstawowych pojęć literaturoznawczych. Skoro bowiem język służy tworzeniu obrazu świata, to językowy obraz świata – uwarunkowany czynnikami poznawczymi i kulturowymi – jest obrazem świata przedstawionego. Obraz świata przedstawionego utrwalony konwencją odbija się w słownictwie i gramatyce języka i jest wspólny dla gremium jego użytkowników; obraz świata przedstawionego w konkretnym tekście lub dyskursie – niekoniecznie literackim – staje się niepowtarzalnym dziełem jednostkowego twórcy. Obraz świata przedstawionego w tekście lub dyskursie przełożonym z jednego języka na inny jest kopią dzieła innego twórcy. We wszystkich przypadkach centralnym aspektem jest obrazowanie, czyli repertuar sposobów językowego wyobrażania świata przedstawionego.

Taki sposób patrzenia na przekład – zarówno jako proces, jak i produkt – wpisuje się w podstawowy paradygmat współczesnej myśli o przekładzie; oznacza zgodę na rezygnację z ekwiwalencji jako celu tłumacza i narzędzia oceny przekładu, a także zakłada podmiotowość tłumacza i subiektywizm jego translatorskich wyborów. Skoro zaś fenomenologiczne pojęcie obrazu świata przedstawionego staje się pojęciem centralnym, środki służące jego tworzeniu, czyli „obrazowanie”, zyskują sobie rację bytu już nie tylko w analizie „obrazu literackiego”, ale także w analizie systemowych środków językowych oraz w analizie przekładu. Interdyscyplinarność staje się faktem.

Tak pokrótce przedstawia się rozumowanie, które leży u podstaw tekstów zebranych w niniejszym tomie. Powstawały w czasie ponad 20 lat. W 1991 roku w krakowskim dwumiesięczniku literacko-politycznym „Arka” opublikowano pierwszy tekst, w którym starałam się pokazać czytelnikom przydatność nowego narzędzia w teorii przekładu i praktyce przekładowej. „Arka” była pismem o profilu literacko-politycznym, i to także miało swoją wymowę; propagowanie teorii *par excellence* językoznawczej jako narzędzia badań uznawanych za *par excellence* literackie było wtedy niejako manifestem politycznym w kontekście panującej jeszcze zasady ścisłego rozdziału dyscyplin humanistycznych. Kolejny tekst – z roku 1995 – przedstawia listę Langackerowskich „wymiarów obrazowania”; jest on próbą pokazania, że (wbrew postulatowi Snell-Hornby) cele językoznawcy (kognitywnego) są w gruncie rzeczy zbieżne z celami, jakie stawia sobie teoria i krytyka przekładu. Teksty powstałe w następnych latach są odzwierciedleniem przekonania, że (wbrew poglądom cytowanego na wstępie bohatera *Stonera*) poezja i gramatyka mają z sobą

bardzo wiele wspólnego. Kolejne artykuły są próbą przekonania czytelnika, że gramatyka ma także bardzo wiele wspólnego z kulturą oraz że tłumaczenie jako relację między tłumaczem i jego czytelnikiem można z pożytkiem rozpatrywać w kategoriach filozofii dialogu.

Rozpatrywanie różnych aspektów przekładu w kontekście obrazowania doprowadziło do rozszerzenia pola badawczego o opis relacji między słowem i obrazem powstającym w umyśle autora/tłumacza lub – w potocznym rozumieniu – dostępnym bezpośrednio percepcji i stanowiącym inspirację werbalnego przekazu. W takim kontekście szczególnej wagi nabiera oczywiście zdefiniowanie punktu widzenia twórcy (lub współtwórcy), który buduje obraz swojego świata przedstawionego w zależności od określonych aspektów rzutowych (czyli, w terminach teorii widzenia Rudolfa Arnheima, cech obrazu obiektu oglądanego z danego punktu obserwacyjnego), lub faset (czyli, w terminach teorii semantycznej Anny Wierzbickiej, zestawu istotnych cech poddanego obserwacji obiektu), jakie z danego punktu widzenia narzucają się obserwacji. Rozważania wkraczają w ten sposób w sferę przekładu intersemiotycznego, a analiza kategorii punktu widzenia rozpatrywanego w aspekcie diachronicznym nawiązuje do pojęcia serii translatorskiej, tak jak ją zdefiniował Edward Balcerzan. Tom zamykają rozważania dotyczące roli wyobraźni – nieodłącznego atrybutu tłumacza. Wyobraźnia przywołuje bowiem „prawdę ukrytą”, która – cytując poetę i tłumacza Jarosława Mikołajewskiego – „jest niezbędna prawdzie postrzeganej”².

Tezy wszystkich tekstów, uzupełniane i modyfikowane w ciągu wszystkich tych lat, sprowadzają się w gruncie rzeczy do kilku stwierdzeń niemal oczywistych. Po pierwsze, intuicje krytyków literatury i przekładu dają się przełożyć na instrumentarium językoznawstwa (kognitywnego), a to nie tylko przydaje im siły i wiarygodności, ale również pozwala na systematyzację jednostkowych wrażeń, co z kolei stanowi pierwszy krok na drodze do powstawania teorii. Po drugie, wszelki przekład jest interpretacją; wiadomo to od dawna, warto jednak poznać narzędzie, które pozwala tę interpretację opisać. Po trzecie, o wartości przekładu stanowi wrażliwość tłumacza na pozornie nieistotnie drobiazgi, małe kawałeczki językowej materii, z których ostatecznie powstaje niepowtarzalna mozaika tekstu. I po czwarte, chociaż – jak pesymistycznie stwierdza pisarz Jakub Żulczyk – „jedynym punktem widzenia, jaki jesteśmy w stanie w pełni poznać i zrozumieć, jest nasz własny”³, im lepiej poznajemy mechanizmy obrazowania, tym bliżej znajdujemy się punktu widzenia Innego. Po ostat-

² J. Mikołajewski, *Tajemnice Ostatniej Wieczery*, „Gazeta Wyborcza”, 19–21.04.2014.

³ J. Żulczyk, *Co robić, żeby nie pisać źle*, „Wysokie Obcasy”, 16.08.2014.

nie wreszcie, interpretacja wymaga kontekstu, a – teoretycznie – granice kontekstu są granicami ludzkiego pojęcia.

Bo weźmy choćby tytuł, którym opatrzone niniejszy przypis do zbioru tekstów o przekładzie. Nazwano ten przypis – konwencjonalnie – p o s ł o w i e m , co jest po prostu odpowiednikiem łacińskiego *post scriptum*. Już tu jednak można dostrzec cień interpretacyjnej niepewności: polskie „słowo” to przecież nie tylko „słowo pisane”... A czym jeszcze – mniej konwencjonalnie – może być to posłowie? Może deklaracją tłumacza, przyrzekającego lojalność swojemu autorowi („być z kimś po słowie”)? A może próbą zapewnienia sobie wiarygodności, skoro wcześniej autor po-słowia obiecał czytelnikowi, że będzie mówił prawdę – choćby tylko własną („daję słowo”)? Może – skoro słów zapisanych przed posłowiem było o wiele więcej niż jedno, należy w nich widzieć niepoddającą się policzalności masę – zalewający czytelnika potok („słowo wstępne”)? A może wreszcie odniesieniem mają być „posłowie”, czyli tłumacze właśnie – pośrednicy między nadawcami i odbiorcami przekazów? No i co z ewentualnym przekładem tego tytułu? I jak tu odpowiednie dać rzeczy słowo?